Rok 1894. We Lwowie Poniedziałek dnia 1 Października Nr. 63.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO" 38

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Nemrod lwowski

Otwarty sezon! Flintę bierz
I ruszaj w pole żywo!
Po lasach brodzi wszelki zwierz,
Na ścierniach świerze żniwo.

Jednakże. jeśli wyznać mam,
Ja w serce twoje wierzę
I na pociechę tkliwych dam,
Co wiem, opowiem szczerze.

Widziałem nieraz: zając hyc!
Ty--bęc!... Kot myk przez pole,
Ja wiem, żeś mu nie zrobił nic
Przez dobrą tylko wolę.

Myślałeś: „Zmykaj pókiś żyw,
Nic ci się już nie stanie,
Bo wszak ci lepiej pośród niw,
Niż w sosie i śmietanie..."

Tłustych kuropatw parę stad
Podszedłeś w polu chrobrze,
Z dwóch luf palnąłeś żwawo w ślad...
„Niech lecą, gdy im dobrze!...

„Serce mi rani koci kwik,
Żal wzbudza mdła ptaszyna —
Wilk, niadźwiedź, albo srogi dzik,
O, to mi jest zwierzyna.

„Więc póki noszę groźną broń,
Jak tutaj mówię z wami,
W niewinnej krwi ta męska dłoń
Przenigdy się nie splami..."

Takiś dał parol. Odtąd też,
Choć wiele w lesie żywie,
I choć na polu chadza zwierz,
Ty strzelasz — nieszkodliwie.

I tylko kiedyś szarak rzekł,
Wyjrzawszy het z pod lasu:
Byłby to całkiem zacny człek,
By robił mniej hałasu!

Rzecz wielka: hałas! Co mi tam...
Grunt serce, ja w nie wierzę!
I na pociechę tkliwych dam,
Co wiem, wyznałem szczerze.

K. W.

Ad astra.

Miał wszystko tylko szczęścia nie miał.

Ból i tęsknota szła zawsze w ślad za nim.

Wieniec z wawrzynu mieć pragnął, a nosił cierniowy.

Kochał kobietę, kochał prawdę, kochał naukę.

Pierwsza wyśmiała go, drugiej nie spotka nigdy, trzecią ujarzmił wprawdzie, ale niewolnica zabrała mu więcej niż dała bo — wiarę.

Zostało mu zgliszcze uczucia, rozum duszy, nie więcej.

Szedł w gąszcz leśny. Kładł się na mchu patrzał w modre nieba, słuchał szumu drzew, spoglądał otwartem okiem na wielkie królestwo życia, widział je w każdej szpilce jodły, w każdej trawce, i rozumiał. Ale po co on żył, to było mu z dniem każdym mniej jasne. I spoczynku nie miał ni dniem ni nocą, a on go tak pragnął...

Na rydwanie czarnych, poszarpanych chmur płynęła pieśń.

Chyliły przed nią bory głowy swoje, trawy w proch kładły zielone warkocze, fale siwego jeziora całowały jej stopy...

I szła — wielka, wspaniała, boska.

Nad brzegiem jeziora stał chłopak; załzawione oczy rzucił na fale i modlił się. Pieśń wyciągnęła nad nim białe dłonie swoje.

Spij!

I zasnął.

Świtezianki wychylać się poczęły z jeziora i zefirki nadciągnęły z daleka i całowały mu włosy i usta i oczy — a pieśń ujęła go w ramiona i uniosła... bo nie było na świecie tego, o co błagał.

Mój pies.

Aż dnia jednego zadzwoniły dzwony nad miasteczkiem mojem i ludzie mrzeć poczęli.

I coraz częściej turkotał czarny wóz po

kamiennym bruku i coraz częściej wywoził kogoś — tam, zkąd nie ma powrotu.

Noc była jasna; pies wył pod oknami.

Patrzyłem, jak wznosił swój łeb do góry, potem wpatrywał się w ziemię i wyjąc, kopał w niej dołek. Niedługo wiedziałem dla kogo go kopał. Nazajutrz umarł ojciec; w ślad za nim poszli dwaj bracia moi. Więcej nas nie było.

A wiosna jak na urągowisko roztaczała najpiękniejsze swe skarby tonów i barw i woni.

Siadałem na progu prostej chaty i słuchałem, jak ziemia jęczała; skarżyła się widać wichru, błękitnemu niebu bez chmurki.

Pies kładł swój łeb wielki na mych kolanach i patrzał swymi mądrymi oczyma na mnie. Chciał może zobaczyć, czy nie mam na twarzy wypisanego paszportu w lepsze strony.

A ja nie miałem nawet łez, bym nimi mógł gasić cierpienia.

Nieraz zwracałem się do Niego, co dzierży potęgę światów w swej dłoni, skarżyłem się Mu, prosiłem z cicha by i mię zabrał za moimi... daremnie.

Gdym kładł się nocą pod drzewami do snu niby, a na mękę w istocie. gdym patrzał w niebo z początku szmaragdowe, potem stalowe i czarne, gdym patrzał, jak noc roztacza nad ziemią opony i zapala płomyki po niebie, myślałem tylko po co oni pomarli i po co-m ja został.

Ja i pies.

I przeszedł mór.

I nie zostało po nim nic, prócz pustych chat i wielu małych mogiłek za miastem.

Traciłem zwolna energję i chęć do życia.

Brałem do rąk lufę pistoletu i patrzałem w ten mały otworek czarny, tak płytki, a przecież tak głęboki. jak wieczność, co tam na dnie jego leżała. Widziałem małą, czerwoną plamkę na koszuli, przed oczyma poczęły latać płatki czarne, coraz gęściej — gęściej — reka pociągnęła cyngiel... rozległ się huk straszny... i znowu cisza.

Siedziałem w tem samem miejscu

Na kolanach duża, jedwabista głowa psa, mądre oczy smutnie wpatrzone we mnie, które mówić się zdawały z wyrzutem:

Widzisz niedobry! masz przecież mnie, który cię kocha.

A wtedy z wyschniętych ócz trysły łepotoki.

O, tak! będę żył!

Liwocz.

Obyczaje chińskie.

Czy zniknie kiedykolwiek antagonizm, istniejący dziś między cywilizacja europejską a cywilizacją chińską? Wątpię — odpowiada na postawione tak pytanie dr. d'Estrey, pisarz francuski autor interesującego dziełka o Chinach — i na poparcie swego twierdzenia przytacza wiązankę obyczajów i zwyczajów chińskich, malującą dosadnie różnicę, jaka panuje między pojęciami mieszkańców Niebieskiego państwa a pojęciami, ustalonemi w Europie.

Chińczyk śmieje się w najlepsze, oznajmiając nam śmierć kogoś z najbliższej swej rorodziny, a oblubienica łamie ręce i zalewa się łzami. gdy ją niosą w palankinie do domu oblubieńca.

rzy spotkaniu chińczyk zapyta się nietylko o an zdrowia ale i to, jakie masz dochody, a pró tego zasypie cię mnóstwem pytań. Obraziłby ię jednak śmiertelnie, gdyby go ktoś zapytał zdrowie żony lub dzieci U nas etykieta nakazuje zdjąć z głowy kapelusz u progu cudzego mieszkania. w Chinach zaś gospodarz, na widok wchodzącego do siebie gościa kładzie czemprędzej kapelusz na głowę. Europejczyk wyciąga na powitanie rękę, a chińczyk zamiast uścisnąć dłoń przybysza, pozostawia ręce przy swym korpusie i trzęsie niemi zawzięcie, bo w Chinach ludzie tak się witają ze sobą. Rozmowa o śmierci nie należy u nas do najprzyjemniejszych tematów, nikt przynajmiej nie przypuszcza, aby zabawił nią gościa; chińczyk jest widocznie innego zdania, bo nio ma nic pilniejszego, jak pochwalić się przed gośćmi kilku deskami na trumnę i ofiarowanemi w prezencie przez przywiązanych synów. Kolor biały jest w Chinach barwą żałoby.

Książka chińska zaczyna się tam, gdzie się u nas kończy. Zgłoski stawia się tam od prawej strony kn leje i od góry ku dołowi, pionowemi kolumnami. Tytuł dzieła mieści się na stronicy nie u góry, lecz u dołu; tam rówaież, poniżej tytułu, znajdziemy porządkowy numer stronicy. Uwag z odsyłaczami, drukowanych u nas u spodu, w książkach chińskich przeciwnie szukać należy u góry.

Uczeń, recydując w klasie lekcję, odwraca się tyłem do nauczyciela, jak tego grzeczność chińska wymaga. Pocałunek matki jest tam rzeczą nieznaną, czułość jej dla dziecka wyraża się w ten sposób, że zbliża je do swego nosa, nie całując więc, tylko wącha.

Obiady chińskie zaczynają się od owoców, a kończą się rybami i zupą.

Chińczyk dosiada konia z prawej strony. Koła maszyn obracają się w Cinach zawsze w kierunku przeciwnym, niż ruch skazówki zegarowej.

Budowę domów rozpoczynają tam najprzód od dachu.

Sklepy są zawsze otwarte na oścież, stoły sklepowe znajdują się na ulicy. Piękność chińska obowiązana jest oczywiście nie przypominać niczem piękności europejskiej, tak np. nos jej winien być koniecznie spłaszczony. Jak wiadomo matki, dbające o piękność córek, spłaszczają im nosy już w niemowlęctwie, co wobec miękkości

chrząstek i kości w dziecińśtwie wydaje potem najpiękniejsze rezultaty. Europejczyk obcina paznokcie, chińczyk nie czyni tego nigdy, to też można spotkać mandarynów, u których ręce sa kakończone paznekciami na 10 centymetrów długości.

Co jednak najwymowniej świadczy o dzikości obyczajów chińskich, to część prawodaw stwa, traktujące o rozwodzie. Wyobraźcie sobie czytelniczki, że jednym z siedmiu uznanych przez kodeks chiński punktów do rozwodu jest gadulstwo małżonki.

Dzienników posiadają Chiny ilość bardzo nieznaczną, a dzienniki — czytelników jak na lekarstwo. Dodajmy, że ani pisma, ani ludność hińska nie zajmują się zgoła polityką. Chińczycy przeto powiada zacytowany na wstępie autor francuski — nie mają u siebie ani stałych ani przygodnych polityków, nie mają depotowanych ani z kategorji zbawców kraju, ani z katygorji panamczyków.

Chiny nie posiadają też rodzin; niegdyś panujących, a dziś, jak np. we Francji, zdetronizowanych i spodziewających się jeszcze lepszej dla siebie doli. W Chinach dzieje się inaczej, tam każcy z władców, obejmując rządy, ścina przedewszystkiem głowy przedstawicielom tej rodziny której zagrabił prawa do tronu, uwalniając kraj raz na zawsze od malkontentów w tak łatwy i prosty sposób.

Malarstwo w XIX-tym wieku

Szkopułem, o który rozbijały się i rozbijają kreślone przez pojedyńcze osobistości dzieje bądź historycznych faktów, bądź cywilizacyjnych objawów i przemian, bądź rozwoju tej lub owej gałęzi sztuki, był jest i będzie — ścisły, niezamącony niczem objektywizm.

Kreślący dzieje takie, sam doskonały znawca przedmiotu i przejmujący się nim do głębi, ma, mieć musi koniecznie, własne upobobania, sympatje, gusta, których piętno wyraźnie, bezwiednie lub rozmyślnie, na dzieło swoje kładzie. Im zaś piszący z natury namiętniejszy, bardziej krewki, bardziej w przedmiocie rozmiłowany, tem jaskrawiej i silniej wychodzi na jaw tendencja, tem bezwględniej stara się przechylić on szalę rzekomo „ objektywnego" sądu, na stronę tej lub owej postaci, tego lub owego kierunku, tej lub owej bardziej mu do duszy przemawiającej i dei. Pamiętam, kiedyś podczas pobytu swego w Warszawie, na któremś z zebrań towarzyskich. wygłosił Jerzy Brandes zdanie, niepozbawione bardzo słusznej i z prawdą zgodnej podstawy. Nie uważaliście państwo — mówił on — że każdy z nas ma w historji wszechświatowej jakieś postacie, z któremi łączy go pewna, że się tak wyrażę, *affinité* pewne powinowactwo „z wyboru" z usposobień przeczutych. Związek to, fizjologicznie rzecz biorąc taki, jakim dziecko z matką spojone; przeciąć go, a jednak ślad jego istnieć nie przestanie. Oto np. ktoś ma taką dziwną, nie do przemożenia sympatję dla... Marji Stuart. Dlaczego, poco, naco? — sam nie powie. Dość, że powinowactwo jakieś istnieje między nim a królową szkocką. I będzie na próżno rozczytywał się w dziełach rwących z piedestału nieszczęsną ofiarę Elżbiety angielskiej i własnej dumy; napróżno uzna całą racjonalność naukowych, źródłowych wywodów, Zawsze istnieć będzie ta jakaś dziwna nić sympaji, powinowactwa, łącząca go z Marją Stuart.

Tak jest. A któżby o tem lepiej mógł sądzić niż autor „Głównych prądów w literaturze XIX-go wieku?" Powinowactwo duchowe łączy go z wielu postaciami, wysuniętymi przeto w dziele jego na plan pierwszy, z ujmą i uszczerbkiem dla innych postaci, którym on wręcz nawet prawa bytu odmawia. To też w dziele Brandesa obwiektywizmu nie szukać. To nic kronika dziejów literatury wieku, w którym żyjemy, to pyszny, na wielką skalę zakrojony pamflet, to czyn wowojenny na niwie publicznej dyskusji dokonany. To wielotomowa księga torujaca po świecie drogę pewnym, ukochanym przez Brandesa, ideom i zasadom.

To samo czyni Nordau w równie niepowszednim i rozgłośnem dziele swojem najnowszem, w „Zwyrodnieniu". Miały to być dzieje chwilowego rozwoju na danej niwie, a wyszedł dwutomowy, ogromny pamflet, z przewodnią ideą nakształt kości pacierzowej spajającej w organiczną całość pojedyncze dzieła ustępy, z ideą, do której mnóstwo faktów i objawów na giął wielki djalektyk i sofista.

Aby zaś trójcy nam nie brakło, wystąpił świeżo R. Muther z „Dziejami malarstwa w XIX tym wieku". z dziełem powołanym do niemniejszego rozgłosu niż *Entartung* Nordau'a i „Prądy" Brandesa. Ma ono wszelkie po temu kwalifikacje. Najpierw, pisane jest znakomicie; wiary się dać niechce aby jaki inny Niemiec, oprócz Nordau'a mógł się zdobyć na stylowe prowadzenie naukowego dzieła w ten sposób. Muther, dość powiedzieć, pisze — jak Francuz; wielka to dla Niemca pochwała- Z dziesięciu 200-stronnicowych zeszytów wyszło już dziewięć i ani w jednym rozdziale autora werwa, swada, dosadność, obrazowość, polemiczne zacięcie, jasność i erudyacj nie osłabły. Będzie to — jest już — dzieło nie zmiernie znamienne dla czasów, które przeżywamy ; będzie to pomnik idei wylęgłych na niwie zapatrywań się na malarską sztukę przy schyłku stulecia, będzie to pełny wyraz najnowocześniejszego prądu, w którego bystre nurty radziby całą sztukę malarską zawrócić — niektórzy. A że prąd to silny, aże zwolennicy jego walczą do upadłego (dowodem scysja w łonie artystycznej malarskiej drużyny monachijskiej). a że apostołowanie czystej wody *modarnizmu* w sztuce jest dziś najulubieńszym sportem powołanych i niepowołanych. tem, tem większenia znaczenia na biera dzieło Muthera, tem skupulatniej liczyć się z niem wypada i wypadnie jeszcze nieraz.

O co chodzi? Z jakiego założenia wychodzi Muther?

Bywało ongi powiadano sobie: arcydzieła pozostawione nam przez Grecyę sa arcydziełami

arcydzieł; potem mówiono sobie: nie, arcydzieła, mi arcydzieł są dziela sztuki z czasów „odrodzenia“ i dalej kunszt malarski pójść nie jest w stanie. Następnie, już w ciągu bieżącego wieku, zapewniano, że dzieła sztuki, w najnowszych czasach powstałe, są inne co prawda, niż arcydzieła greckie i renesansu, jednak stoją na równiej z niemi linii, czyli innem słowem, że wiekie każdy na swoją rękę, są w stanie wydawać, jednakowej wartości - arcydzieła. Nareszcie, przyszli krytycy dzieł sztuki — najnowsi i zawyrokowali, że oni że: ani słowa wspaniałe są klasycyzmy greckie i arcydzieła i odrodzenia, a nawet wcale piękne są obrazy powstałe ostatniemi czasy, jednak — sztuka malarska dała olbrzymi krok naprzód i w ostatnie niemal chwili, pod ręką niektórych mistrzów doszła do swego — apogeum!

— Malarstwo — powiadają — krocząc nie ustanie drogą postępu, zdobyło nową, dziewiczą placówkę i stanęło dziś na wyżynach, których stopą swoją nie tknęli ani mistrze klasyczni ani renensansowi koryfeusze malarstwa.

Jest to ogłoszenie *urbi ert orbi* postępowości w sztuce i uderzenie w rozgłośną fan,arę na część wytworów malarskich najnowszego stempla.

Oto założenie Muhtera, oto stanowisko, z którego patrzy na dzieje malarstwa i wieków minionych i bieżącego wieku. Z latarką własnych przekonań, upodobań i teorji w ręku obchodz ion place i zaułki sztuki malarskiej, wygrzebując wszędzie dowody dla poparcia z góry prawionej tezy.

Z końcem 18 wieku zdemokratyzowała się sztuka; z pod opieki arystokratycznych mecenasów przeszła pod pieczę mieszczańską; popularną się stała. Zadania, które jej wstawione, prysły; już Hogart nie będzie rysował — moralizujących kazań, Grenze nie będzie malował tkliwie wzruszających scen, a ustęp ze słynnej mowy Davida z roku 1791 o elektryzowaniu ludu za pomocą obrazów, wyobrażająch czyny bohaterskie, przebrzmi bez echa. Malarstwo wyzbędzie się raz na zawsze roli publicznego guwernera; nie będzie ju? nawoływało do pobożności, ani do spełnianiabohaterskich czynów, ani do praktykowaniu cnót wszelakich u domowego ogniska Z rodzajowych obrazków z niknie — anegdota. Okaże się, że nie ma najmniejszej racyi szukać w obrazie „jakiejś przewodnej idei“, tego lub owego „tematu“, jaj najsłuszniej byłoby żałować, że pod symionią Bethoven'a nie ma podłożonego libretta

Wyzwolenie malarstwa z pod tych rzekomych, zadań, stawianych mu niesłusznie wymagań i przestarzałych przesądów, oto pierwszy krok ku doskonałości uczyniony. Z chwilą gdy zaczęto sztukę brać jako sztukę, gdy sztuka zaczęła istnieć dla sztuki, — poszło na płan najdalszy wszystko, co wniej było literackiego, historycznego, anegdotycznego, sentymentalnego.

Géricault, Delacroix, Courbet, Manet o to ogniwa jegnego, wspaniałego łańcucha rozwoju idącego przez wiek XIX To są nowatorowie istotni, to zdobywcy, to koryfeusze modernizmu, będącego malarstwie nietylko ostatnim ale i doskonalszym wyrazem!

Znika wszelkie naśladownictwo. Naśladownictwem był klasycyzm, naśladownictwem był romatyzm Nareszcie, przypomniano sobie raz przecie, co już przed wiekami wyrzekł Michał Anioł. „Kto za innymi idzie, nigdy ich nie wyminie“. I istotnie, wyminęli, wyprzedzili poprzedników swoich ci nareszcie, co ztredycyą wszelką zerwawszy, utarte porzucili drogi i śmiało rzucili drogi i śmiało rzucili się naprzód słuchając tylko własnego uzdolnienia i własnej indywidualności zakusów. Byli to realiści, którym w udziale przypadło wysadzić z siodła romantyzmu, tak zupełnie jak swojego czasu romantycy zajęli miejsce klasyków.

Realiści nietylko wydźwig nęli z zapomnienia — pejzaż. Nawet historyczne nowoczesne malarstwo, dzięki im, cech zbywających malarstwu historycznemu przeszłowiecznemu. Meissonir i Menzel już na szczudłach nie chodzą i koturnach. W dziełach ich są ludzie z krwi i kości, przyobleczeni jedynie na czas pozowania w dowolne kostjumy.

Na jednym tylko punkcie nie zdołali realiści wyswobodzić sztuki malarskiej z torów dawnych, mianowicie na punkcie roli, jaką w obrazie grać powinien --- kolor, farba. Kolorystyczność na obrazie znaną była dotychczas jedna tylko, ta, którą jaśnieją dzieła mistrzów średniowiecznych. Rzucono się tedy ją naśladować. Majstersztyków w tym kierunku dokonał we Francji Coubert i Ribot, w Niemczech Lenbach, Lebl i Diez, naśladując do możliwych granic kolorystlczne właściwości Ribery lub Caravaggia. Ale — okazało się rychło, że prowizoryczne zapchanie luki naśladownictwami nie posuwa malarstwa ani o krok naprzód.

I zjawił się na widowni — „plein-air“. Odkryto Amerykę nową. Przekonano się, że postacie oblane dokoła światłem i powietrzem inaczej wyglądają, niż ustawione na pracownianej estradzie. Rozmiłowano się w jasnych, czystych powietrznych tonach „plein-air'u“. Sięgnięto po wzory aż do Japończyków i — z japońskich też wzorów wyrósł nareszcie najkapitalniejszy przedstawiciel czystej krwi modernizmu w malarstwie Manet

W chwili zjawienia się impresjonisty Maneta na widowni, malarstwo europejskie opierało się na trzech zasadach wszystko na biało; drudzy nastrajali obrazy swoje na skalę ciepłej, weneckiej brutalności; trzeci wroszcie, opierający się na prerafaelitach i Menzlu, w imię prawdy i szczerości bezwzględnej, brali „in crudo“ tony lokalne, tó jest malowali drzewa na zielono, dachy na czerwono, niebo na niebiesko, ziemię na szaro, nie troszcząc się o żadną kolorystyczną harmonię.